

Heronima Wilczewska

Sygnatura notacji: **N1254**

Data urodzenia: **02.11.1932 r.**

Data nagrania: **15.05.2018 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **73 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Hieronima Wilczewska: Urodziłam się dnia 2 listopada 1932 roku. Na imię mam Hieronima, z domu Kowalewska. Rodzice, tatuś Kazimierz, mamusia Genowefa, z domu Lewandowska. Rodzeństwo, nas czworo było. Była siostra, imię Regina, brat Stanisław, ja jako trzecia, Hieronima i brat najmłodszy Edward. Byliśmy, mieszkaliśmy w Kucze Duże, parafia Jedwabne, powiat Łomża, województwo Białystok. Bo przed wojną prawdopodobnie było warszawskie. Tak tatuś mówił. Jako dziecko, to jak to na wsi, krowy pasłam, gęsi, co trzeba było, pomagałam. Mój tatuś zginął. Został zabity też w czerwcu tego samego roku, co spaleni Żydzi zostali. Mamusia została, nas czworo jako sieroty, ale jakoś wychowała. Nikt w złą drogę nie poszedł. Pracowaliśmy, pomagaliśmy, dokąd mogliśmy, na gospodarce. Później skończyłam 20 lat. Wyjechałam do Orzysza do pracy jako krawcowa pracowałam. Wyszłam za mąż w 1954 roku. Urodziłam czworo dzieci. Syna Stanisława, Jana, który umarł, trzy miesiące, syna Janusza i syna Ireneusza. Syn Stanisław: 1954 rok, 10 listopad, drugi, ten, co umarł, Jan: 1956 rok. Janusz, który żyje: 1959 rok, Ireneusz: 1961 rok. Pokończyli, starszy poszedł do wojska, najstarszy. Nie skończył liceum. Poszedł do Alaski, bo chciał być wojskowy. Później Janusz skończył liceum, skończył studia tak pozalicealne i poszedł do Wrocławia na oficerską szkołę. Dwoch miałam synów wojskowych. Trzeci poszedł do technikum budowy okrętów w Szczecinie. Skończył i kuzynka mnie zaprosiła do Ameryki, co razem mieszkaliśmy, pomagała jemu tam się wyprowadzić, ona powiedziała, że mnie zaprosi i zaproszenie przysłała i dostałam paszport, dostałam wizę i w 1984... 2000, 4 września przyjechałam do Stanów Zjednoczonych. Wypadł stan wojenny, więc udało mi się załatwić stały pobyt. I zrobiłam zaproszenie dla syna, stały pobyt, Ireneusza. I mam tam Ireneusza w Ameryce, syna najmłodszego. I od 2000 roku, 4 września, mieszkam w New Britain. Od 1985 roku co roku jestem w Polsce, bo mam tu dwóch synów. Jeden mieszka w Szczecinie, drugi mieszka w Olsztynie. Mam sześcioro wnuków, sześcioro prawnuków, tak że mam do tego tęsknić i Polskę bardzo

kocham, bo to mój kraj, moja matka, gdzie się urodziłam, gdzie się wychowałam. I to wszystko, życie takie było, jakie były czasy, takie było i życie. Panowie młodzi, to tego nie wiedzą, ale to się nie da opowiedzieć, bo było różnie. Było i dobrze, i było źle, i była bieda. Tak że pracowałam dzień i noc. Był taki okres, że przez pięć lat to pracowałam, trzy godziny na dobę tylko spałam, ale się czułam dobrze i szczęśliwie. Dzieci wychowała dobrze, tak że nie mam żadnego problemu. Mąż umarł. Był trochę alkoholik, ale był jako mąż i ojciec był dobry, bo mam dobrych synów. Nie mogę mówić, że było niedobrze. Mąż był niedobry dla mnie, ale dzieci po nim dobre, to trzeba go szanować i kochać. W Ameryce pracowałam przez 10 lat. 15 lat. 5 lat przy szyciu i 10 lat w szpitalu na kuchni pracowałam jako pomoc. A już od 1995 roku jestem na emeryturze, bo wysłali mnie na 62 lata, dlatego że była redukcja. Ja byłam najmłodszym pracownikiem, to zostałam zwolniona. To mi powiedział ten cały boss, że jak mnie zwolnią, to nie będę mieć ni pieniędzy, ni ubezpieczenia. A jak ja się sama zgodzę odejść na te 62 lata, to szpital mi do 65 lat płaci ubezpieczenie. Ja się zgodziłam. Była to mała emeryturka, ale było za co przeżyć i wystarczyło. I do tej pory tak jestem. I mam tam syna, mieszka w Miami, tak że jestem po prostu zadowolona i szczęśliwa, bo co roku jestem w Polsce i co roku jestem w Ameryce z powrotem. Co chodzi o Żydów, to mój tatuś miał bardzo dobry stosunek. Nawet do mojej mamusi dwie Żydówki przychodziły, uczyli się szyć, stebnować ładnie igłą, bo uszyła mamusia płaszczyk dla mojej siostry i poszliśmy do kościoła, to te dwie Żydówki zdjęły ten płaszczyk i oglądali, że tak ładnie uszyty. A ludzie zobaczyli, mówią: „O, Kowalewianka płaszczyk ukradła Żydówce”, a to nie było, że ukradła, tylko oni obejrzeli i przyszli do mojej mamusi. Przez cały tydzień przychodzili i mamusia ich uczyła tej stebnówki, taka jak maszyna. A tyle, co pamiętam, jeszcze jak tatuś żył, to w Jedwabnem tym całym komendantem policji był Żyd. To był tatuś kolegą. Zawsze do Kuczow przyjeżdżał, to zawsze do tatuśka przychodził i z tatuśkiem rozmawiał. Tak że była dobra. Ja trzy rodziny znałam, do których chodziłam po bułeczki, latałam do Jedwabnego, bo to pięć kilometrów od nas z Kuczow. Proszę pana, ja nie pamiętam, żeby było jakieś złe, po prostu Żydzi bardzo często kiedyś wozili na wozach te szmaty takie i to się kupowało talerze, szklanki, łyżki, bo to nie było tak. To od Żydów, oni zbierali te szmaty różne, to były takie i stare, i porwane, i brudne, to zbierali, a za to przywozili garnczki, talerze, szklanki, łyżki, noże, to wszystko to się od nich kupowało, tak że ja pamiętam dobre relacje, ale różnie to się trafia, tak jak i w rodzinie. W rodzinie się pogrywają, tak może byli ludzie tacy, co tego, ja tego nie mogę stwierdzić, ale na pewno. W każdym kraju i w każdej narodowości są ludzie dobrzy i są niedobrzy. Taka jest prawda. Ja tego nic nie mogę powiedzieć, że tam Polacy byli dla Żydów niedobrzy albo Żydzi dla Polaków. To, co ja z mojej strony, co ja jako dziecko widziałam i później, to było wszystko w porządku. Zawsze jak poszłam po te bułeczki, to Żydzi bardzo byli przychylni. Jeszcze mi zawsze dali więcej. To ja mówię, że nie mam tyle pieniędzy, bo tatuś mi dał tyle. Dobrze, dobrze, tatuś zapłacił. Zawsze dali tego, tak że było wszystko dobre. I ten 10 lipiec... Aha, i ksiądz ogłosił w niedzielę na mszy, że jest wojna. To komunii święta się odbyła pierwsza, że jest wojna. Na drugi rok nie będzie. Ja miałam iść na drugi rok do pierwszej komunii. Ksiądz ogłosił, że rodzice, którzy mają dziecko, co ma skończone osiem lat, że jest dodatkowa nauczka i żeby przysłali, i będzie komunii pierwsza zrobiona, przyspieszona. I ja właśnie na tę nauczkę chodziłam. I jednego razu wychodzę z tej nauczki, proszę pana, a gonią tych Żydów tą naszą ulicą przez Czelsko, bo to była moja ulica, trzeba było iść. Więc ludzi szło dużo polskich razem. Dołączyłam się i ja, i patrzyliśmy. To było tam paru Polaków, ale Niemcy jak pod karabinem gnali, tak że oni nie szli, nie tego, żeby... Tylko byli razem, z tymi Żydami szli do tej stodoły. Ta stodołka tak była tam na uboczu. I się ludzie zatrzymali, skęcili i proszę pana, stałam ja jako dziecko, się też patrzyłam. Otworzyli tę stodołę i tak Żydów wganiiali. To ci starsi, którzy wchodzili, a ci, co mieli dzieci, jedna na drugiej wchodzili pod sam sufit. Więc te dzieciaki malutkie, nie tego, to te Niemcy brali, te Gestapo tak, gdzie złapali

tego dzieciaka za rękę, za ramię, za kołnierz i rzucali na tę gromadę. Jak już ich wszystkich tam wgonili do tej stodoły, więc zamknęli te wierzeje i z tych karabinów puścili, to benzyna była, ja myślałam, że to woda. Krzykiem mówię: „O Jezus, wodę ich leją!”, a drugie z miotacza, strzelili z takiego, ogień od razu wybuchnął i cała stodoła stanęła w płomieniach. Jak ten krzyk się tam wziął w tej stodole, jak ludzie... A ci Polacy, co tam parę osób szło, straszny krzyk podnieśli: „Bandyci, bandyci, zbrodniarze!” i wszystko puciekało. A tych Żydów zgonili. Więc na drugi... Ja przyleciałam do domu, a moja mamusia pierzynami, poduszkami zakrywa okna, bo tak jakieś tydzień, dwa tygodnie przed tym spalaniem, to taką puścili kaczkę, żeby nikt nie wychodził z domów, bo Niemcy puszcza gaz. Więc moja mamusia, jak zobaczyła ten dym, ten smród, bo to te spalanie tego ciała to straszny ten odór był, zatykała okna, że to gaz puszczony. I wchodząc do domu, brat, siostra i drugi brat siedzą na podłodze, a mamusia mówi: „O, jak dobrze, dziecko, siadaj”. Tak nas wszystkich objęła i usiadła na podłogę, żeby się zatruli wszyscy razem. A ja taka byłam spłakana, zdyszana, bo te pięć kilometrów leciałam do domu, dwie rodziny były z Przestrzelec, co ich dzieci były, to do jednej rodziny zaleciałam i do drugiej, ale żadni mnie nie przyjęli ze strachu. Drzwi otworzyli, zamknęli, uciekaj do domu. Ja przybiegłam do Kuczów i do mamusi nie mogłam powiedzieć z tego zadyszania, a mój brat się zerwał, ten, co umarł, już nie żyje, Stanisław, poleciał do wody, przyniósł mi kubek wody, ja tę wodę wypilałam i mówię: „Mamusia, to nie gaz, to palą Żydów”. A ta stodoła była Stefańskiego. To był nauczyciel, który w Kuczach uczył nas, bo była szkoła u Maryjaków. Więc mamusia te okno odsłoniła z tych pierzyn, z tych poduszek i tak płakała, stała, a ten smród, ja doszłam, tak że w mieszkaniu nie można było siedzieć, taki był ten. A ten dym tak szedł w górę, Boże kochany. Na drugi dzień ja dwie godziny wcześniej poleciałam rano na tę nauczkę. Poszłam do tej stodoły, popiół tak był na tym, że nie było nic widać, tylko popiół. Wiatr powiał ten popiół, zgoniony został, a oni się zaczęli, ci co na dnie byli, to tak siedzieli, tak byli pokurczeni, ale czy to było na kolanach, czy co, to taka gromadka ich cała była. I ten popiół nas gonił, a oni zaczęli się ruszać. A takie dwie babcie chodzą i tak płakali, tak fartuchami tży ocierali, a ja mówię: „Babcie, czego wy płaczecie? Oni pewnie chcą wody”, bo te trzy rodziny, co latałam po bułeczki, widziałam, że zostały tam spalone. I tak nogę jak to dzieciak, osiem lat, przełożyłam nogę przez tę podmurówkę, żeby wejść tam do nich się zapytać, czy oni chcą wody, a ten gestapowiec tak mnie złapał w powietrzu: [niezrozumiałe, 00:14:07]. A drugi do mnie podchodzi i tak: „Ty rozumiesz?”, tak mnie palcem sztura w piersi, „Ty rozumiesz, co on ci skazał?”, po rosyjsku. A ja tak ramionami strząchnęłam, a on mówi: „On skazał, żebyś się napatrzyła, co robią z Żydami”. Jak skończą z Żydami, to z wami, Polakami, będą to robić”. Tak że poszłam do domu. Przez te parę dni, co ich trzymali, ta warta cały czas stała. Nie dopuszczali nikogo. A ci Żydzi na tych kuczkach siedzieli i tak się kiwali. Niektórzy mieli ręce całe poburczone, twarze czyste, niektórzy mieli twarze okropnie spurchlone, ręce czyste. I żyli. Ale nie dopuścili nikogo, żeby do nich tam ktoś poszedł, czy tam dał wody, czy tego. Ostatni ten dzień tygodnia ja idę też. Te dwie godziny zawsze latałam, wcześniej tam zachodziłam. To już oni tak siedzieli. Tak się patrzyli. Te oczy, ja do dziś, Boże kochany, ja mówię, a mnie serce boli. Te oczy tak się po prostu patrzyły i już się nie ruszali. Jak wyszliśmy z kościoła, to ja też jeszcze, ale w ten czas, jak dopiero zasypali ziemią, jak już oni życie skończyli. To straszne. Ci ludzie w Jedwabnem, mówię panu, to tak są przestraszeni do dziś, bo to tak zrobili te obozy koncentracyjne polskie, to wszystko, a co mieli Polacy do gadania, jak byli pod okupacją niemiecką? Szłam do Jedwabnego i taka pani starsza niosła i szedł młody, Żydziak to był. Szedł tu do Przestrzela. A jechali Niemcy bryczką. I zatrzymali, rewidowali mnie jako dziecka nie. Ale trzeba było powiedzieć „Heil Hitler”, bo jak nie, to pitotoleli albo tego. Czy ten Żyd powiedział „Heil Hitler”, czy nie, to ja tego nie wiem. Ale dwóch zeszło i z nim porozmawiali. Jeden, co rozmawiali, tak w rowie on stał, bo to był jeszcze bruk, nie było asfaltu i tylko kamienie brukowane, co ten tam chłopak mówił,

tego nie wiem, wyjął pistolet i strzelił, i temu chłopakowi w głowę, i zabił tego Żydziaka. I zostawił go, siadł na bryczkę jechać, ale zatrzymali się, podjechali kawałeczek, tak jak do ściany zatrzymali się i dwóch zeszło, i tak za nogę go wzięli. Tam zaraz był lasek niedaleko. Między Przestrzelem a Jedwabnem. Wciągnęli go do tego lasu, a ja jako dziecko wskoczyłam do żyta, w żyto się schowałam, jak oni odjechali i z tymi Żydami do tego lasu poszłam, tego chłopaka zobaczyć. Jak on żyje, to może jakiejś pomocy udzielić. A on już leżał nieżywy, martwy, muchy całą twarz mu obsiadły, bo ta krew, cały zakrwawiony był, to ja gałęzie uzbierałam i te muchy zgoniłam, nakryłam go tymi gałęziami i do Jedwabnego poleciałam, i tam takiej rodzinie, to byli Kossakowscy, już oni nie żyją, później oni, nie wiem, czy wyjechali, czy to byli Żydzi, tak że powiedziałam, i jak szłam później już z Jedwabnego, zrobiłam zakupy, to zachodziłam do tego lasu, to już tego chłopaka nie było w tym lasu. Takie było to, tyle mogli Polacy zrobić. A jeśli tam byli jakiś Polak naprawdę co nie tego, to on był po prostu nieprawdziwy Polak. Bo prawdziwy Polak Żydom nigdy krzywdy nie zrobił. Ani Żydzi też nie robili krzywdy. Oni zawsze się starali być dobrzy. Jak przyjechałam do Ameryki, to pracowałam u Żyda z Czechosłowacji. I do dzisiaj, już on nie żyje, 65 lat miał, zachorował, trzy miesiące i szybko umarł. Ja się do dziś za niego modlę, bo był bardzo dobry człowiek. Ale w rodzinie też się trafia, że jeden na drugiego się gniewają. To tak na pewno było i z Żydami. Za wszystkich Polaków nie mogę nic mówić, gwarantować, ale co z mojej opinii to było dobrze. I jak książkę czytałam, to opisują, że Żydzi się najlepiej w Polsce czuli, że to była ich ojczyzna.

Tomasz Sikorski: Prosiłbym jeszcze raz o doprecyzowanie, w którym momencie dołączyła pani do zdarzeń 10 lipca? Czyli już jak ta kolumna przemieszczała się z rynku w kierunku stodoły...

Hieronima Wilczewska: Wyszliśmy z kościoła, to akurat jak kościół stoi, to ta uliczka, co ten, bo to był rynek na tym środku, to z tego rynku, jak ich gonili przy tym kościele. Tu kościół stoi, a tutaj ulica i ich gonili. I z tego kościoła prosto się dołączyli do tej, dołączyłam, wszystkie, to nie tylko ja, bo tam dzieci więcej się dołączyły te, co byliśmy na tej nauczce. I poszliśmy tak kawałeczek tą przestrzelską ulicą i to tam się kończyło to miasteczko, i po lewej stronie ta stodoła była, i tam ich wgonili.

Tomasz Sikorski: Czyli grupowania Żydów na rynku i wydarzeń towarzyszących temu pani nie widziała?

Hieronima Wilczewska: Nie, byłam w kościele w tym czasie. Tego nie widziałam.

Tomasz Sikorski: Proszę powiedzieć dwie rzeczy, jeżeli chodzi o liczbę. Czy jest w stanie pani orientacyjnie określić, ilu Niemców konwojowało tę kolumnę i ilu Polaków mogło też towarzyszyć tej kolumnie?

Hieronima Wilczewska: W tej kolumnie, to wie pan, trudno określić, ale tak jak co stali, to tak dziesięciu czy dwunastu na pewno ich było, co później tę stodołę, jak otaczali. Bo to z jednej strony Niemcy szli i z drugiej ludzie szli, a po bokach byli Niemcy z karabinami. A Polaków to niedużo było. Trudno mi opowiedzieć, ile tam osób. Wie pan, nie chcę kłamać, ale było jakieś może ośmiu do dziesięciu, więcej nie było. Może i tyle nie było. Tak że szli i później,

jak strasznie krzyczeli: „Zbrodniarze, bandyci!”, jak ci Niemcy ich podpalili i wszystkie pouciekali.

Tomasz Sikorski: Proszę mi jeszcze jedno powiedzieć. W tym filmie, do którego pani udzielała wywiadu telewizyj, przywołuje pani sprawę tego pierwszego pomnika w Jedwabnem.

Hieronima Wilczewska: Tak. Właśnie myślę o tym pomniku. Pojechałam, jak już z Ameryki, miałam aparacik i robiłam zdjęcia, to było napisane 1600 osób gestapo spaliło w stodole. To było wszystko napisane. Tam w filmie to zdjęcie jest, bo ja dałam dla pana Wacka. I to było napisane. Później jak pojechałam drugi raz i już tego kamienia nie było, nie ma w ogóle i te ogrodzenia w ogóle już inne zrobione, tylko postawiony taki słup i wypisane, że zostali spaleni, ale nie ma kto. Nie ma, że to Niemcy, tylko że zostali Żydzi spaleni. Wszystko już jest to przerobione. Ale tam 1600 osób to nie było. Bo jak teraz jako dziecko, to tam wie pan, nie mogłam się orientować, ale jak ja teraz 300 osób jak ja widzę, to jaka to jest gromada. A ta stodoła zresztą nie była taka. 300 osób wgonić to było. To konieczne jest zrobienie ekshumacji. Bez tego nie da rady ustalić, ile to było. I to powinni polscy... Ja bardzo się dziwię, wie pan, że do tej pory, bo to wszystko mają. Ja w to nie wierzę, że nie mają zdjęć, że nie mają tych dokumentów. Ja wcale w to nie wierzę. Mają to wszystko, tylko jest ktoś taki, że tego się boi, bo może brał udział, może się boi sam wydać. Nie wiem, dlaczego to trzymają. Przecież to było jawne. Wszyscy ludzie... dużo osób nie żyje i ci, co je widzieli, to powiem panu prawdę, że ci ludzie nie mogą mówić. Moja siostra starsza, ona nie widziała i tak się zgadaliśmy, i ja tak mówię, a ona mówi: „Co ty gadasz? Nie palili Żydów”, a ja mówię: „Reginka, a ty nie pamiętasz, jak mamusia zakrywała poduszkami i pierzynami okna?” „O, prawda”, dopiero. Tak że ci ludzie młodzi, co nie widzieli, to wie pan, trudno im uwierzyć w takie coś, bo to straszne, ale ja to co widziałam. A ja, dlatego, wie pan, dużo tego, dlatego tak, pan Bóg jakoś to chyba dał, moja mamusia mnie wysyłała za tą siostrę, ona była cztery lata starsza, ale ja byłam... Jestem ciut wyższa od niej. Rozum miałam dziecięcą, to normalne, dziesięć lat, na roboty. Bo 14 lat, które dziecko skończyło, to już Niemcy zapisywali i trzeba było odrabiać. Te okopy kopać, ziemniaki, zboża młócić, bo to wojsko, front stał niemiecki, to to robiło. To mamusia mnie wysyłała. I mamusia tak przyszła, a wiem, że to było... Po prostu Niemcy przymuszali Polaków do tego, bo sołtys był u nas w Kuczach, był to Bogusz, a to mamusi był kolega. Przyszedł z Niemcami i zapisali tę siostrę, 14 lat, a mamusia do niego podeszła i mówi: „Słuchaj, Janek, nie dość, że mi męża zabili, to jeszcze ty przyprowadził Niemców, żeby mi dzieci pozabijali”. A on mówi: „Gienia, przyszedł do mnie z listą. Zobacz, on trzyma listę i wszystkie nazwiska ma spisane, ale powiedział, że mam prowadzić do każdej rodziny po nazwisku, gdzie, kto mieszka. Powiedziałem, że nie pójdę, przystawił mi pistolet do głowy, powiedział: «nie pójdziesz, to będziesz tu leżał». I co? Mam dzieci i idę. Idę po domach i pokazuję, gdzie, kto mieszka, tam, co te dzieci były 14-letnie”. I mamusia się bała, żeby jej nie wywieźli do Niemiec, to mnie posyłała. I ja tak szłam z tym szpadlem te okopy kopać, a mężczyźni tak idą, bo tak gnali nas ci Niemcy, pieszo tam chodzili i tak do siebie mówili: „Ta matka to dziecko to ma chyba na stracenie”. Mnie tak trochę przykro było, ale litowali się nade mną i ten szpadel mnie nieśli. I te okopy kopaliśmy. Jak te bomby leciały, był taki ten pisk, to wszyscy do tych dołów kładli się i ci Niemcy, co nad nami stali. To i ja, ja się położyłam i tak ręce założyłam i w tym rowie leżę, aż Niemiec mnie po tyłku uderzył. Ja dopiero patrzę, wszyscy kopią okopy, a ja w tym dole leżę. Się zerwałam i kopałam. Później dwa tygodnie byłam na młóceniu i kopaniu ziemniaków, trzymali, to tydzień czasu mamusia nie wiedziała, gdzie ja jestem. Aż było dużo mężczyzn i jeden płakał, bo jego żona rodziła. Ja mówię: „Czego nie uciekacie?”, a tam ogród taki był piękny. To było w Kamiankach w tym budynku, co mieszkaliśmy. W dużym pokoju mieszkali mężczyźni, a w takim małym my kobiety, to słoma była rozłożona i tak jedna przy drugiej jak śledzie się kładliśmy. I ja do tych mężczyzn mówię: „To cze-

go nie uciekacie? Taki ogród duży, warta z tej strony, a tu otwórzcie okna.” „Tak, jak okna pozabijane są”. A ja mówię: „Jak to? A ma któryś obcęgi? To ja powyciągam te gwoździe”. A jeden mówi... Był koń, bo zabrali go z wozem i z koniem, mówi: „Ja mam, ale jak iść, jak warta stoi”. A ja mówię: „Weź pan wiadro i jako poić konie”. I ten człowiek poszedł, i przyniósł mi te obcążki takie i ja wychodzę, i ten wartownik siedzi, a ja tak: sukienkę zawinęłam, mamusia nam takie majtki do kolan poszyła, co z płótna robiła i tak, ustami: „prr...”, a on „Schweine”, od świń... i się odwrócił z tym krzesłem plecami do tego tam. A tam takie kwiaty były, ja usiadłam w te kwiaty, patrzę, on krzesło odwrócił i plecami się do mnie. Ja za te ściany tam i z tego okna powyciągałam te gwoździe i przychodzę, jeszcze jeden gwóźdź tam został w okiennicy, bo te okiennice były zamknięte, pozabijane. To ja mówię: „Gdzie, czekajcie, muszę zmierzyć”. Tak zmierzyłam, na jakiej to wysokości ze środka, poszłam i ten ostatni gwóźdź wyciągnęłam. Zobaczyli, sprawdzili, okiennice się otwiera, pozamykali, bo światła, nie można było świecić, okna były... Jedynie tam świeczkami, lampkami tak sobie świecili, bo to samoloty chodziły, tego... I tej nocy uciekło 15 mężczyzn. Bo tam ich było chyba... Tylko paru. A rwetes, tego, Niemców się naleciało, ten dowódca cały, co był: „Kto wychodził?”. Do tego wartownika przyprowadzili, a on przyszedł i pokazał, że ja tylko wychodziłam. Nikt tam do ogrodu nie wchodził, bo on siedział na takiej rampie. I ja miałam i ten mówi, że chyba tak jemu pokazuje, że taki smród, on zatkał twarz, że tego i pokazuje. A to wcale ja nie miałam żadnego, tylko tak ustami robiłam. I tak że mi nic nie było, bo nie doszli, kto to zrobił. Ten wartownik powiedział, że ja tylko w tych kwiatkach siedziałam i że dwa razy latałam, bo brzuch mnie bolał i tak pokazał, że ja się za brzuch trzymałam i to jemu uwierzyli, tak że mnie nie wydali, bo żeby wydali, to by mnie zastrzelili. I później przy tym młóceniu, tak przyjechało te gestapo, taki starszy facet, taka skrzynia duża zboża była i ten gestapowiec każe mnie odciągnąć. Ja wzięłam, a gdzież tam, Boże i mówię, że nie, kręcę głowę. A on taką pychę miał, tak trząchnął ręką i mu już z rękawa wyleciała. Jak mnie sięgnął, jak ja zaczęłam po tym klepisku skakać. A taki był, dużo wojska było Ukraińców, w tym niemieckim wojsku na tym froncie i taki jeden, jak mamusia mi po tym tygodniu przyniosła buty, bo byłam boso, a to już przymrozki były i chleba trzy bochenki, to on wziął od mamusi ten chleb, a dał mamusi tego wojskowego. Ja po rosyjsku, mamusia była... W 1914 roku byli wywiezieni w Rosji, tak że po rosyjsku umiała czytać, pisać i jak z nim pogadała, a on mówi, że tak: „Ona od dziś będzie moją siostrą. Ja się będę nią opiekował”, ten Ukraińiec. „Ty jesteś moja tu zastępcza matka, bo ja matkę miał Polkę, a ojca Ukraińca”. I on się mną opiekował. I na tym zbożu oni tam na górze, na tym zasieku siedzieli, ja do niego mówię: „Mikołaj, zrzuć czapkę, to ja ci podam, bo tak nie ucieknę, a on mnie tu zabije”. A on mówi, że ja nie mogę, bo to godło niemieckie, to ja mówię: „To niech drugi się oprze o twoją głowę”, bo tam jak było sporo tych Ukraińców, tych żołnierzy, co nam pomagali, tego zboża tam rzucać. Oparł się i mu ta czapka spadła na to klepisko. To ja tego, ten gestapowiec mnie zabrał, że on i tę czapkę tak rzucał w górę, ale gdzie to było wysoko, ta czapka nie doleciała, spadała. Ja podleciałam, tę czapkę na głowę i mówię, że ja zanosę. I po tym zbożu, bo to na bosaka, jeszcze butów nie miałam wtenczas. Na bosaka i po tym zbożu, i tam na tego oni mnie za ręce wciągnęli. I jak oni mnie tam wciągnęli, to już ja leżę, to ja wyglądam, a on mówi, że: „Ty schodź”, ten Niemiec. A ja mówię, kręcę głowę, że nie. To on im każe mnie zepchnąć. Przyniósł drabinę, że on po mnie wlezie. Ta drabina była za mała, krótka, przynieśli drugie te chłopcy, musieli powiązać i tak na górze tak tyle tej drabiny w górze, tam na tym zbożu było w górze. A ja tak wzięłam za tę drabinę i mówię: „Mikołaj, powiedz jemu, niech zejdzie, bo jak nie, to ja go zrzucę”. I tak ruszyłam, a ta drabina związana tak się wzięła, on się zaczął trząść. Ale ja go tam nie tego, tylko tak ruszyłam tą drabiną. I ten jemu mówi po niemiecku, ten rosyjski żołnierz, że: „Ty zejdziesz, bo ona powiedziała, że cię zrzuci”. A on mówi: „Wy ją zrzucicie”. To oni mnie tak próbowali zrzucić, ale trzymali jedni za ręce niby mnie odciągając, zrzucić, a drudzy za nogę trzymali. I proszę pana, ja nie zesłam, to powiedział, że przyjedzie i mnie zastrzeli. To ten Mikołaj właśnie, tych żołnierzy, tych swoich

Ukraińców zrobił, w zbożu tak daleko, taki stożek zrobili, bo to zboże jak młócili, to później tę słomę składali w takie stogi. Zrobili mnie taką dziurę, że jak gestapo jechało, to jeden żołnierz mnie za rękę, tam ja wsuwałam się w ten stóg i snopkiem słomy, słomą mnie zatkał, to ja się dusiłam, ja, dlatego siedziałam, aż oni odjechali. Przyszedł po mnie znów i mnie wyciągał. Tak że ja dużo przeżyłam jako dziecko. I to wszystko za mną idzie. A najwięcej teraz, jak ja mówię, ja widzę tych Żydów wszystkich i tych spalonych, to dla mnie jest przeżycie. Ja tak bym prosiła, żeby naprawdę ci urzędnicy, ci Polacy, po prostu wszystkich, dziennikarzy, pracowników tego ministerstwa, żeby po prostu tych ludzi w tym Jedwabnem pocieszyli, żeby zdjęli z nich tę plagę, że to Polska zabiła, bo to wcale nie jest prawdą. Niemcy zabili, Niemcy dopuszczali i nikt nie miał tego. Krowy kradli, wszystko. Polacy się bali. Bali się iść, rewidowali do miasta, jak wchodzili, do Jedwabnego, to wszystkie przedtem rewidowali, tak że to nie można było tak przejść, jak to tylko. I „Heil Hitler” trzeba było mówić, bo nie, to albo kula w łeb albo batem po plecach.

Tomasz Sikorski: Pani Hieronimo, chciałbym jeszcze wrócić do kilku szczegółów związanych z 10 lipca. Tam pani opowiadała, że zwrócił się do pani żołnierz esesman po rosyjsku, natomiast jest taki przekaz, że w mordzie w Jedwabnem uczestniczył obywatel Związku Radzieckiego, który mieszkał w Jedwabnem i który mówił po rosyjsku. Czy pani jest pewna, że po rosyjsku do pani się odezwał żołnierz, czy pani dopuszcza, że to mogło być...

Hieronima Wilczewska: Nie, nie, po rosyjsku się odezwał ten, co był tak samo ubrany jak ci wszyscy Niemcy gestapo. To razem był w tej grupie i on stał w tej warcie. Latałam, zawsze on był.

Tomasz Sikorski: I chciałem się jeszcze zapytać, czy pani była świadkiem chowania szczątków zamordowanych Żydów i kto to robił?

Hieronima Wilczewska: Tak jak już mówiłam, trzymali ich żywych parę dni. Jak już oni umarli, tego ostatniego dnia, co leciałam, rano zaleciałam, to już oni siedzieli, już nie kiwali się, bo tak to cały czas, cały czas tak się kiwali, a wtenczas już siedzieli normalnie i te oczy ich już, wie pan, już jak u nieboszczyka. Już teraz wiem, bo już widziałam i dużo ludzi nieboszczyków. Jak umrze, to już te oczy tak patrzyły, ani mrugnę, ni nic. Już siedziały trupy. Dopiero ich zasypali. To patrzyłam, jak ich zasypywali szpadlami, tego. Mieszkałam w Kuczach Dużych z rodzicami. Tatuś Kazimierz, mamusia Genowefa, z domu Lewandowska. Było nas czworo rodzeństwa. Pierwsza była siostra starsza, Regina, urodzona w 1928 roku. Brat, który umarł, 17 lat miał, Stanisław, w 1929 roku. Ja w 1932 roku. Najmłodszy brat w 1935 roku się urodził, Edward Kowalski. Mieszka w Łomży.

Tomasz Sikorski: I wracając jeszcze do wczesnego etapu wojny. Gdyby pani była uprzejma opowiedzieć, co pani pamięta z początkowej...

Hieronima Wilczewska: W 1939 roku wkroczyli do nas najpierw Rosjanie. Ja zaczęłam chodzić do pierwszej klasy akurat za ruskiego. Później nie pamiętam dokładnie daty, miesiąca, jak uciekali ruskie, a wkroczyli Niemcy. Pierwsi do Jedwabnego weszli Rosjanie. I szkoła była w Kuczach Dużych u Maryjaków. Ja chodziłam do tej szkoły, to uczyli nas po rosyjsku i przyjechał żołnierz rosyjski, przywiózł trzy worki cukierków do szkoły, postawił te cukierki

na tym podwyższeniu, jak to mieli i powiesił portret Stalina. I krzyż wisiał, jak to w szkole, to krzyża jeszcze nie zdjęli. Wisiał krzyż. I te dzieci tam ustawił, a ja stałam, tak siedziałam na końcu w ławce, to w tej ławce stałam, nie poszłam do tej sceny. I się pyta wszystkich tych dzieci: „Dzieci, kogo lepiej kochacie, Pana Boga czy Stalina?”, a dzieci, jak to dzieci uczone były po katolicku: „Pana Boga”. To tak do trzech razy zapytał. „Pana Boga”, odpowiedzieli. „No to poproście teraz Pana Boga, żeby wam dał cukierków”. To te dzieci: „Panie Jezusie, daj cukierków”. Nic. „Do trzech razy proście”. To te dzieciaki proszą. A ja tak stoję tam w tej ławce. Nareszcie mówi: „To teraz poproście towarzysza Stalina. Powiedzcie: «Towarzyszu Stalinie, daj nam cukierków»”. To te dzieci: „Towarzyszu Stalinie, daj nam cukierków”. „Ale to też do trzech razy trzeba poprosić”, mówi. To te dzieci proszą. Tego trzeciego razu on z tych worków te cukierki tak dla tych dzieci sypie. Te dzieciaki zbierają. Rzuca z tej sceny te cukierki, a ja w tej ławce stoję, nie idę. Ja patrzę, a on do tej nauczycielki mówi coś. Ja już w strachu, że dostanę. Nareszcie nauczycielka: „Heronia, chodź tu”. To ja idę. Podeszłam do tej sceny i mówi: „On się pyta ciebie, czego ty nie idziesz po te cukierki”, a ja mówię tak: „Bo to daje ten żołnierz”, nie powiedziałam „żołnierz”, tylko: „bo to ten żołdat, a nie Stalin te cukierki”. A on tak wziął tak te całe garście tych cukierków i mnie tak w ten fartuszek tak wziął. A ja tak te cukierki wyrzuciłam z tego fartucha na ziemię i tak się rozpłakałam, i uciekłam. Kilometr do domu, bo na kolonii mieszkaliśmy, leciałam i płakałam, czego ja nie wzięłam choć jednego spróbować, jaki smak ten cukierek ma. I do dzisiaj żałuję, bo podobnie były bardzo smaczne, a ja tak te cukierki wyrzuciłam temu żołnierzowi i biegiem, szybko z tej szkoły uciekłam. Nie byłam do końca. A te dzieci nabrały tych cukierków, że później mieli, ale dawali mnie w szkole. Już ja później nie chciałam od nich wziąć tego cukierka. I do dziś nie wiem jaki był smak. A byli podobnie bardzo dobre. Dzieci chwaliły. Tak że przyszli Niemcy, to mnie tam krzywdy nie robili. Jeśli kradli, to muszę panu powiedzieć, krowy zabierali, świnie. Po jednej krowie tylko zostawiali. Nam zabrali jedną krowę, jedną zostawili, bo dzieci mama miała. Sąsiadom zabrali ostatnią, ale to ci Niemcy stali, wartowali, pilnowali, a to ukraińskie wojsko kradło. I przyszli do nas na kolonię. Tam mojej kuzynce ukradli tę krowę. Bali się, bo to u nas 50 osób mieszkało. U nich też mieszkały trzy rodziny, ale się bali, jak ich zamknęli, tak oni już z domu nie wyszli, tylko oknem patrzyli. A u nas słuchamy, wyjść chcemy, słuchamy, że tam do chleba się dobierają, kłódkę tam piłują. Tak do drzwi, drzwi są, a zamknęli bagnetem. Ten skobel i zamknęli drzwi. To ci wszyscy, co tam mieszkali ludzie, się zebrali w tej sieni i tak gromada cała, jeden w drugiego w te drzwi. I ten bagnet się złamał. I my wszyscy wylecieliśmy. I zaczęli krzyczeć, a sąsiad wyleciał z gwizdkiem i wziął gwizdać. To ten Niemiec pierwszy uciekał i ci pouciekali, tak że nam nie ukradli już, nie wzięli ni krowy. I później przyjechał, też siostra była już jak wróciłam z tego kopania na jesieni, z tego wszystkiego, pasłam gęsi na łące, a on przyjechał i chciał zastrzelić gęsi, ten żołnierz. A ja już tych Ukraińców znałam, te wojsko w tym Kamienkach. Ja mu wzięłam i palec w lufę włożyłam, jak on chciał tego gęsiaka zastrzelić. A on do mnie mówi tak: „O, to ty taka mądra, chcesz, żeby mi karabin rozerwało?”. Jak on to powiedział, to ja jeszcze głębiej ten palec, bo tak to się bałam, niech mi palec przestrzeli, ale gęsiaka nie zabije, taki to rozum był, że palca nie żałowałam, tylko gęsiaka. A jak on powiedział, że jemu lufę rozerwie, to ja ten palec w ten karabin jeszcze głębiej wsadziłam i nie dałam. A to on poszedł i u siostry trzy kury zastrzelił. Ja mówię, że nie daj mu, weź, to siostra jedną tę kurę złapała i go po łbie tą kurą, a on dwie wziął te kury i za nogi, i wsiedli na wóz, bo oni tymi wozami jeździli, nie samochodami. Wsiedli na wóz i te kury powieźli. Tak że nie okradali Niemcy, okradało wojsko ukraińskie. Oni się nimi posługiwali. Niemiec kazał iść, a Niemiec stał na warcie z karabinem.

Tomasz Sikorski: Chciałem się zapytać jeszcze, czy pani ma jakąś wiedzę o jedwabieńskich Żydach,

którzy się uratowali z pogromu? To jest jedno. A dwa, czy pani coś pamięta, jak ten temat był podjęty przez społeczność lokalną, przez władzę po 1945 roku.

Hieronima Wilczewska: Tego to wie pan... prawdopodobnie, już nie żyje ten człowiek, opowiadał, że w nocy, jak ta warta stała, kupili Polacy wódki i zaszli, tak stanął, że ci Niemcy musieli się obrócić w stronę Przestrzela. Że jednego z tej stodoły wyciągnęli tego żywego. I że on jest w Izraelu, ale ja tego nie mogę powiedzieć, bo ten człowiek nie żyje. Że uratowali i on jest... i on prawdopodobnie, że świadczył, tak mówili, że jeden przyjechał z Izraela i świadczył, to ja tak myślę, czy to może nie ten, że Polacy dużo uratowali, dużo pomogli, a ten Gros, on powiedział, że on zwariował. I zrobił go, tak mi z Jedwabnego już opowiadali ludzie, że był jeden z Izraela Żyd, który mówił, że dzięki Polakom on żyje, że go Polacy uratowali, że Polacy dużo Żydów uratowali, a Gros te takie te bajki, bo to, co ja kupiłam tę książkę Grosa, mam, przeczytałam. To, co przeczytałam, to wcale nie jest to prawda. To jest kłamstwem, zrobione po prostu, tak jak ja mówię, w każdym kraju są ludzie różni, bo znam rodziny, że rodzice umarli, polskie, nie spisali tego majątku i cała rodzina się gniewa. Polacy. To tak samo jest i u Żydów. Są dobrzy i są niedobrzy. Ale to nie jest prawda. To Polacy tam... Jak by szli, to tak jak ja mówię, jak ten sołtys pod karabinem niemieckim gonieni byli, jak pomagali. To byli zmuszeni do tego, bo nikt nie poszedł tak, a Niemcy z Polakami tam nie mieli żadnego takiego towarzystwa. Byli jacyś nastani, a narodowość się przeprowadza i nie wiadomo, kto przyjedzie, kto zamieszka. Tak że ja bym powiedziała, że to nie... Po prostu byli zmuszeni. Jeśli byli, to byli zmuszeni pod karabinem. A jeśli był taki, który się sam zgłosił, to on powinien mieć na tyle odwagi i się przyznać. Ja bym bardzo prosiła, żeby po prostu tę prawdę, to przecież nic nie jest, ale żeby tym umarłym, tym Żydom, którzy tak to cierpieli i tam siedzieli, zanim umrą na te siedządzki, żeby po prostu im, bo oni też to przeżywają, oni wiedzieli, że się nad nimi litowali, że im pomagali. Nawet parę osób od tych Żydówków dziecko zabrali i wychowali.

Tomasz Sikorski: Pani już mówiła, pani już się odnosiła do tej liczby 1600 zamordowanych.

Hieronima Wilczewska: Tak, to ja mam jeszcze, nie brałam tutaj ze sobą, bo jest na filmie to zdjęcie.

Tomasz Sikorski: Natomiast jeszcze raz bym poprosił, żeby pani spróbowała określić liczbę Żydów, którzy byli pędzeni przez Niemców z rynku.

Hieronima Wilczewska: Wie pan, jak teraz się orientuję, ta grupa to 300, ponad 300, 250, to więcej nie było. Bo jak teraz patrzę na te tam, jak mówią, tam po tysiącu te ludzie, jak idą na te protesty, to jest ogromna liczba, to tam tego nie weszło. Ale to wie pan, nie sprawdzi się, bo to trudno, człowiek nie zliczył, żeby zrobili ekshumację to by wszystko wyszło i by była prawdziwa prawda, bo te kości nie zgniły, te kości są.

Tomasz Sikorski: Czy wśród prowadzonych Żydów byli Żydzi z Jedwabnego czy z innych okolic? Czy byli to Żydzi, których pani kojarzyła? Rodziny, które pani kojarzyła?

Hieronima Wilczewska: Wie pan, ja tego nie kojarzę, to była grupa, a skąd zebrali, czy to byli wszyscy z Jedwabnego, czy zwieźli, to ja nie mogę tego mówić, bo to przecież trzeba byłoby wiedzieć, żeby coś powiedzieć. A ja

widziałam, wyszłam z kościoła i gonili całą gromadę, a czy to byli wszyscy z Jedwabnego czy tam skądś przywieźli, to tego ja nie mogę mówić, bo ja tego nie widziałam. Ja to mówię, co widziałam. Patrzę, te trzy rodziny akurat idą, do których latałam po chleb, po bułeczki, co ja ich znałam, to tak po prostu oni takiej odwagi mi dodali, że ja tego i później tam latałam do nich, patrzyłam, bo żałowałam tych ludzi, bo byli bardzo dobrzy. Bo piekarnie, wszystko, to było w Jedwabnem przecież. To było wszystko żydowskie. Ja mówię, wyszłam z kościoła, patrzę, Żydów gonią. No, gdzie? No, do stodoły. A ta stodoła to była niedaleko ulicy. Blisko to było żyto. I to było wtedy, co żyto jeszcze, przez to żyto tak tą ścieżką przeszli, bo było to żyto zasiane wkoło. A na drugi rok to na tym miejscu, gdzie ci Żydzi pochowani, było posiane zboże, to takie to zboże było zielone i rosło takie duże, jak szłam to się patrzyłam i wszyscy ludzie podziwiali. Tam, gdzie ci Żydzi byli pochowani. Po prostu tam nie było żadnego zachowania. Ludzie szli, ludzie gonili, a jak który tam do tego, tylko „Raus!” powiedzieli i każdy już. Tak się słuchali jak dzieci rodziców przed wojną, bo dzisiaj to się dzieci tak nie słuchają rodziców, ale jak przed wojną to trzeba było tatusia i mamusię w rękę pocałować i przeprosić, jak się zrobiło.

Tomasz Sikorski: Pytam dlatego, że są takie relacje, które mówią, że Niemcy...

Hieronima Wilczewska: Powiedzieli „Raus!” i to wszystko, i to szli. Tak że tam to spokojnie wszystko szło. Ci Żydzi szli spokojnie, bo oni na pewno nie myśleli, że ich gonią do stodoły i na spalenie. I nikt nie myślał z tych ludzi. Bo to mówili, że ich tam gdzieś do pracy wywiozą. Dopiero jak tę stodołę podpalili, dopiero się to pokazało, że to spalone. I zaczęli Polacy krzyczeć: „Zbrodniarze, bandyci!”. I pouciekali, bo się bali, żeby ich nie zastrzelili.

Tomasz Sikorski: Ja pytam dlatego, że są takie relacje, które mówią, że Niemcy podobno fotografowali całe zdarzenie. Czy pani może zauważyła, żeby Niemcy zachowywali się w jakiś taki sposób uwieczniający te całe wydarzenie?

Hieronima Wilczewska: Nie, tego nie zauważyłam. Może, wie pan, tam byli, stali i mieli te karabiny, i tego nie zauważyłam. Nie zauważyłam tego. Być może, ale ja nie zauważyłam. Nie mogę powiedzieć, że Niemcy fotografowali.

Tomasz Sikorski: Wspomniała pani, że była pani w momencie, w którym były szczątki spalonych Żydów grzebane, pochowane, czy pani pamięta, kto chował, kto zakopywał?

Hieronima Wilczewska: Ci wartownicy, Niemcy.

Tomasz Sikorski: Niemcy, nie Polacy.

Hieronima Wilczewska: Niemcy, Niemcy. Niemcy, Niemcy sami tymi szpadlami zakopywali.

Tomasz Sikorski: Mam jeszcze jedno pytanie, czy wskazywało coś, jakieś wydarzenia, jakieś pogłoski wskazywały na to, co się wydarzy 10 lipca? Czy słyszała Pani?

Hieronima Wilczewska: Mówię panu, że tak jakoś tydzień, dwa tygodnie przed tym spaleniem to taką kaczkę puścili, jeden drugiemu mówili, a kto to powiedział, żeby ludzie siedzieli w domach, żeby nie wychodzili, bo Niemcy puszcza gaz. I ta moja mamusia zatykała te okna pierzyną, poduszkami, a ten dym, ten słup z tej stodoły to był strasznie, to w górę szło, pogoda była taka piękna. Tak to w górę szło, to mówię panu. Ja do dziś ten słup widzę. Jak teraz nieraz tam jakiś płomień i taki słup, to mnie serce zadrży. A ten... bo to przecież tyle ludzi, te włosy, te ubrania, te ciała paliły, to to straszny był ten śwąd. Tak że w mieszkaniu to trzeba było buzię zatykać, nie było czym oddychać. Jak ja powiedziałam, że to palą Żydów, dopiero mamusia, tak płakała. Ja do dziś widzę te jej łzy, jak jej leciały tak po prostu strumienie, w tym oknie stała.

Tomasz Sikorski: Ile razy pani była przy tej stodole Stefańskich?

Hieronima Wilczewska: Cały tydzień.

Tomasz Sikorski: Codziennie?

Hieronima Wilczewska: Codziennie dwie godziny wcześniej leciałam, bo tak...

Tomasz Sikorski: Jak długo żyli, bo pani mówiła, że pani przez tydzień przychodziła...

Hieronima Wilczewska: Przez ten tydzień.

Tomasz Sikorski: I jak długo żyli ci Żydzi, których pani zobaczyła?

Hieronima Wilczewska: Ja nie wiem, czy to było pięć dni, czy sześć. Tak że to w sobotę mieliśmy zakończenie tej naučky, to już ich zasypywali.

Tomasz Sikorski: Jeszcze jedna sprawa. Pani powiedziała w swojej relacji, że tę kolumnę Żydów prowadziło kilkunastu Niemców. Natomiast szacuje pani, że Żydów mogło być około 300 osób.

Hieronima Wilczewska: Może 300, może więcej, wie pan, trudno tak powiedzieć.

Tomasz Sikorski: Kilkunastu Niemców sobie poradziło z zapędzeniem do stodoły tych 300 Żydów.

Hieronima Wilczewska: Oni wginali, karabinami popychali, a to tak jak mówię, jeden na drugiego musiał wchodzić, dorośli. A te dzieciaki, to tych rodziców, którzy jego, to tym karabinem popychali, to te matki te ich dzieciaki zostawili, bo nie wciągnie, to jest normalne. Jak sam musi się trzymać, żeby wszedł. To łapali i tak rzucali. Strasznie to było, mówię, Boże kochany. To jest straszne i to powinno być pokazane i powinno to być... Ta prawda powinna wyjść i nie bronić złodzieja, mordercy, czy to był Polak, czy to był Żyd. Jeszcze nie powiedziałam jednego. Miałam sąsiadkę tam w Stanach, w New Britain, gdzie mieszkam, która była dwa i pół roku w Oświęcimiu. Te numery mam

jej, jeszcze i zdjęcie. Ona opowiadała, ona znała dobrze niemiecki. I ona u Niemców służyła, i podsłuchiwała, tam powiedziała, o tym samolocie coś powiedziała z tą gospodynią, a to jej mąż był pułkownikiem, tej gospodyni, co ona była. Jak usłyszał, że po niemiecku rozumie, wsadzili ją do Oświęcimia. I ona była dwa i pół roku. Ona nie patrzyła na światło. W okularach czarnych leżała, światła nie można było świecić i ja jej pomagałam, po prostu raz w tygodniu ją kąpałam. Przychodzili tam i spisywali, i taki był Janek Wójcik, już on nie żyje. Spisywali i z jej, i ze mnie, proszę pana, i te zdjęcie. Nawet do bożnicy włożyłam to jedno zdjęcie i napisałam im po polsku, że módlcie się wy, bo ja się całe życie za nich modłę, za dusze. Módlcie się i wy za nich, za te spalone. Ale nikt nie tego. Spisywali i to wszystko poszło. I ona mówiła, że jak byli w Oświęcimiu, to ona znała tam tego, Żydów poprzebierali w mundury i Żyd Żyda do pieca wkładał i palił. Ona to zeznawała, oni to spisali. Ona podpisała i to wszystko zginęło, to nic nie wyszło.

Tomasz Sikorski: Pani Hieronimo, proszę jeszcze powiedzieć, czy wyklucza pani udział Polaków w zbrodni w Jedwabnem?

Hieronima Wilczewska: Słucha pan, ja nie mogę powiedzieć, że ci Polacy co szli, że oni brali udział. Ci Polacy, co szli, to nie wpychali do stodoły. Oni z boku stali. Jak mówię, jak oni zamknęli, jak podpalili, to ci Polacy: „Złodzieje, bandyci!” i wszystko uciekło, bo się bali, żeby ich nie pozastrelali. Ja nie wiem czemu. I ludzie, jak podpalili tę stodołę, to ci ludzie, Boże kochany, ja już się nie oglądałam, ja z tym dwojgiem dzieci z Przestrzela, nas troje tylko było, to te dzieciaki płakały. Jeden był chłopczyk, druga dziewczynka też tak jak ja, to my wszyscy troje lecieliśmy i z płaczem uciekaliśmy. Już się nie oglądaliśmy, tylko się obejrzelśmy, czy nas nie goni Niemiec. Ja widzę tę swoją matkę, jak ona płacze. Brat z siostrą się zerwali, wszyscy już... Ale na podwórko wyszliśmy, bo w domu nie można było wytrzymać od tego swądu, a na podwórzu to jednak wiatr trochę rozgonił to. Ten swąd taki był cały czas, ale to już powietrze było to trochę inaczej. A ja nie mogłam w nocy spać. Godzinę wcześniej poszłam i siedziałam później pod kościołem, bo tylko tam obeszłam, latałam. Straszne, ci Żydzi bardzo przeżyli i po prostu dla tych umarłych, i dla tych, co żyją, ludzie powinni to zrobić. Bardzo bym prosiła. I jeszcze nie powiedziałam tego. To było w Łomży, te forty. Tam wykopali dół i ludzi żywcem. Kogo postrzelił, kogo żywcem pozasypywali. To była pielgrzymka. To z Łomży był biskup i ja mamusię prosiłam, że pójdę, bo to 20 kilometrów było. Mamusia mówi: „Dzieciaku, nie dasz rady”, a ja mówię: „Nie? Mamusia, dam radę, pójdę”. To człowiek opowiadał, który po prostu był tylko ranny w rękę, a żywy i się wieczorem wygrzebał z tego piachu i przez ten las, warta stała, ale to było ciemno i on uciekł. On później opowiadał, że kogo zastrzelili, że ziemia ruszała. I to wszystko te papiery mają. Mają te wszystkie papiery i tam do dzisiaj jest. Zdjęcia robione, film zrobiony, czy nie z tego zdjęcia?

Tomasz Sikorski: Jest.

Hieronima Wilczewska: Zrobiony. Pan Wacław to wszystko ma, bo zaprowadziłam tam, pokazałam, gdzie to było w tym lesie. Tam stoją te pomniki jeszcze i tam pisze, że Niemcy to zrobili. Tam już nie ma... Po prostu nie ma takiej w Jedwabnem, że pozmieniali tablicę, poustawiali i teraz jest, tam pisze, też jest pomnik na tym zdjęciu. Pisze, że spaleni zostali w czasie wojny. W czasie wojny zostali spaleni. Tyle napisane. Takie jest oświadczenie. A tej tablicy, tego kamienia nie ma. I te ogrodzenia w ogóle inaczej zrobili.

Tomasz Sikorski: Chciałem jeszcze zapytać, czy w czasie tego przemarszu zdarzyły się takie, o których pani wie, które pani widziała, sytuacje, w których...

Hieronima Wilczewska: Po prostu szli tak jak się po prostu krowy pędzi na pastwisko i te krowy idą, i tak ci ludzie szli.

Tomasz Sikorski: Ale czy wtedy, wtedy, kiedy szli, zdarzyły się jakieś zabójstwa Żydów?

Hieronima Wilczewska: Dwóch szło naprzód i wskazywali drogę, gdzie mają iść, Niemcy.

Tomasz Sikorski: I chciałem jeszcze zapytać, czy pomnik...

Hieronima Wilczewska: Przyprowadzili drogą, doprowadzili ich do tej, tam taka ścieżka tylko była, bo to było zboże, stanął z boku i tu drugi stanął z boku i skierowali do stodoły.

Tomasz Sikorski: Dobrze. Czy pamięta pani pomnik Lenina? Pomnik Lenia. Czy pani...

Hieronima Wilczewska: Pamiętam, ale ja później tam nie oglądałam, bo to było na rynku. Bo to jak kościół stoi, tak był rynek. Tak pośrodku stał budynek. Ten budynek już rozebrali, później nie ma. I na tym rynku tam podobnież się wszystko to odbywało. Pomnik Lenina, Stalina, wszystkie pomniki pamiętam. Ale jak go rozwalali, to już tego... Tak że byłam w kościele, to nie mogę mówić tego, co nie widziałam. To, co widziałam, to mówię, że gonili tak jak wszystkich, Polacy szli pod karabinami niemieckimi, razem z Żydami to wszystko było. Tylko tak z boku. Nie da się to mówić, bo to już mnie...

Tomasz Sikorski: Już serce boli.

Hieronima Wilczewska: Serce boli, jak ja to wspominam. Całe życie, proszę mi wierzyć, że ja widzę każdą tę osobę, tych spalonych, jak ich wganiali do tej stodoły, te dzieciaki, jak je wrzucali. Później jak te siedzą. Ja całe życie ich widzę. O, jeszcze miałam taki sen. To muszę powiedzieć. Przyszedł do mnie pan w kapeluszu jako Żyd, tak mi się śniło, go pamiętam. I mówi tak: „Wiem, że ty chodzisz do swego tatusia na cmentarz, jeździsz do Jedwabnego”. Jak w Orzyszu już mieszkalam. „Jeździsz na cmentarz do Jedwabnego”. Ale jak szłam, siostra mieszkała tam na kolonii, gdzie mieszkaliśmy, to tam u sąsiada, to był Robotowski, na jego polu był duża taka sterta kamieni ułożona. I jak z tego Jedwabnego przyszłam, to mnie się chciało siku. To ja za tę brukownicę, były Małe Kucze i Duże, to kilometr drogi łączyło. To bliżej Małych Kuczów, to ja siadałam, bo od strony Dużych Kuczów za te kamienie siku i dopiero do siostry szłam. I ten facet mówi: „Ty, wiem, że siadasz do dużych Kuczów siku. Nie siadaj od Dużych Kuczów, tylko jak pojedziesz, idź, usiądź z tej strony od Małych Kuczów. Leży płytką na wierzchu kamieni. Płytką, patrzaj. Pod tą płytką jest kociotek złota. Te złoto weź dla siebie, a daj na mszę za to za wszystkie dusze w czyścicu cierpiące. Ja do mamusi mówię tak i tak ten sen, a mamusia mówi tak: „Dzieciaku, robisz dzień i noc, pracujesz, śpisz trzy godziny, tobie się rozum już pomieszał. Tobie się przedstawia. Tobie się śni ze zmęczenia różnie. Ja źle się czuję, w tym roku nie pojedę”. Ja mówię: „To da mamusia mi pieniędzy”, bo jak pracowałam, to mamusi, jak dostałam wypłatę, oddawałam, żeby się nie czuła, że jest u mnie służącą,

bo dzieci mi pilnowała, tylko jako gospodyni. Jak prosiłam, jak trzeba mi było pieniędzy, to ja prosiłam mamusię. Da mamusia mi 100 złotych, to ja pojedę sama na drogę. „Nie dam ci, bo mam tylko 100 złotych na życie, na chleb dla dzieci”. A może okłamała, może miała więcej, ale tak mi powiedziała. „To ja pożyczę od sąsiadki.”, „Nie idź, nie pożyczaj”. No i ja nie pojechałam. Na drugi rok jadę. „Na drugi rok pojedziemy. Ja pojedę z tobą, będę się lepiej czuła”. Na drugi rok przychodzi ten Dzień Zaduszny: „Ja jadę, mamusia, jedziemy?” „Ja nie jadę, bo ja się źle czuję.”, „Ja jadę, mamusia”. Pojechałam, zachodzę, idę do siostry, patrzę, już tych kamieni nie ma, tej brukownicy. Przychodzę i mówię: „Reginka, a co się stało z tymi kamieniami?”. A ona mówi: „Rząd kupił od Ramatowskiego. I wziął, najął trzy furmanki i wyobraź sobie, od Małych Kuczków była płytką taka na wierzchu, a pod tą płytką kociołek złota był”, i mówi: „Oni się podzielili trzech, tym złotem. Jeden się położył spać i jemu się przedstawiło, że dali mu najmniej, że oni sobie wzięli więcej”. Poszedł na posterunek i zameldował do Jedwabnego, policja przyjechała i im wszystkim zabrała. To ja co, sen był prawdziwy, kociołek złota nie wzięłam, ale prosił mnie za dusze w czyśćcu cierpiące dać. To ja w nocy siedziałam, facet przyszedł, żeby uszyć kurtkę, bo jechał. Ja całą noc kurtkę uszyłam i zarobiłam 300 złotych, bo tak kosztowało uszycie kurtki 300 złotych. I tę mszę z tym katafalkiem, bo tak kosztowało 300 złotych, poszłam do księdza i zamówiłam tę mszę za te dusze w czyśćcu cierpiące, tych wszystkich pomordowanych i wszystkie dusze w czyśćcu cierpiące, tak jak ten sen mnie powiedział. I mówię do księdza: „Niech ksiądz ogłosi, żeby przyszło więcej ludzi. Ja myślę, że każdy ma jakieś dusze w czyśćcu cierpiące”. A on mówi: „To ja ogłoszę, kto dał na tę mszę”. Ja mówię: „Tego to ja nie chcę. Może ksiądz powiedzieć, że parafianka dała, ale niech ksiądz nie mówi, że Wilczewska”. I ksiądz mi przyrzekł, że nie powie. I nie powiedział. Tylko ogłosił, że parafianka zamówiła mszę za wszystkie dusze pomordowane, w czyśćcu cierpiące. Ja z pracy się zwolniłam, poprosiłam prezesa, ja przychodzę, patrzę, furmanką, pełno, tam był taki rynecek. A co to się dzieje? Ja wchodzę, a pełen kościół ludzi. Ja byłam taka szczęśliwa, ja wiedziałam, że te dusze idą do nieba wszystkie. I tę mszę odprawiłam, ale dopiero... przepraszałam te dusze, że rok czasu musieli czekać. O, jeszcze powiem. Jak byliśmy, byłam w Pensylwanii tam w Stanach, ten film wyświetlali ci państwo i ja byłam, i tam byli z Warszawy... Było tej delegacji dużo. Dużo pań się nade mną dziwiło, dlaczego ja się nie bałam. To mnie do dzisiaj w sercu siedzi, jak tak oni... „A czemu, o pani, ja to bym się bała, o pani, ja to bym się bała mówić”. Ja mówię: „Czego? Ja się mogę bać kłamać, ale prawdy powiedzieć, to ja się nigdy nie boję”. A mnie tak, że dlaczego ja się nie bałam, takiego strachu dodawali. Nikt mi nie powiedział, że dobrze zrobiłaś, że powiedziałaś, tylko: „Jak ty się nie bała, jak ty się nie bała”. Jak tak można? Prawdę tak ukrywać, nie mówić prawdy, tylko się bać tego, ja nie mogę zrozumieć.

Tomasz Sikorski: Jeszcze jedna kwestia, o której żeśmy nie mówili, a pani o tym wspomniała, o śmierci ojca. Mówiła pani, że pani tato zmarł kilka miesięcy, zginął kilka miesięcy przed wydarzeniami w lipcu 1941 roku. Czy może pani powiedzieć, co się stało z pani tatą? Jak on zginął?

Hieronima Wilczewska: Mój tatuś, w 1914 roku była taka zaraza, cholera panowała. I tatusia rodzice oboje umarli, a brat, stryjek był żonaty, a bratowa była to, co tatuś opowiadał, była bardzo niedobra dla mego tatusia ta bratowa. Tatuś miał 14 lat. Była ogólna mobilizacja. Brali do wojska. Więc tatuś się zgłosił, po tej rozpaczach tych rodziców, że oboje umarli, został sam, bo brat już żonaty, zgłosił się na to, odpowiedział, że ma 16 lat. Więc postawili na wagę, co to tatuś opowiadał, waga, wzrost, wszystko wskazywało i jako 14-letni chłopak poszedł na wojnę, i służył w wojsku. Był plutonowym. Był podobnież bardzo dobrym żołnierzem, to już od sąsiada wiem. I w tym 1914 roku, później ta wojna wybuchła, więc każdy przyszedł się pożegnać z rodziną, bo byli w Łomży, stanęli. Przyszedł się pożegnać z rodziną, pożegnał się

z nami i wrócił do łomży do wojska, a już odeszło wojsko. Nie wiedzieli gdzie, to tak parę osób zostało. Nie tylko tatuś. I utworzyli taką partyzantkę. Tatuś był tym dowódcą tej partyzantki, a drugi był... on podobnież później był szpiegiem, tak mnie powiedzieli. Ja tego nie wiem. Chciał po prostu objąć tego. I przychodził taki sąsiad, który miał razem pole, co razem też tego i do tatusia, żeby tatuś poszedł i się zgłosił, to Niemcy już byli. Żeby się zgłosił, że tego, że został, się zameldował, bo to tak było, się nie zgłaszali ta partyzantka. I mówi: „Zobacz, ja się zameldowałem i tam te wszystkie po imionach, chodzimy sobie, a ty się kryjesz”. To tydzień czasu siedział, całą noc konia przyprowadził, bo mieliśmy pole tylko przez miedzę i całą noc siedział u nas na podwórku, na kamieniu. Pokąd my nie szliśmy spać, to on siedział i rozmawiał z tatusiem, i tak namawiał, żeby się tatuś poszedł też i zameldował, i będzie już wolny. A tatuś mówi, że nie. I w końcu jak cały tydzień, mamusia mówi: „Ty, on cię pilnuje”, tatuś mówi, że: „Nie, to są koledzy”. I w końcu mamusia wzięła, jak ten tak przychodził, mówi: „Zobacz, widzisz, on z dziećmi chodzi, spaceruje, może idź, może on dobrze mówi”. I tatuś się poszedł zameldował. Na drugi dzień przyjeżdża brat, kolegi brat i też to był ten tatusia kolega, ale ten, co taki najlepszy kolega przyjechał i mówi tak: „Kazik, uciekaj, bo mój brat...”, to Wróblewski był. On chciał objąć dowództwo tej partyzantki. Mówi: „Wróblewski namówił mojego brata i mój brat cię przyjdzie z Niemcem i zastrzeli. Zabiją ciebie”. Tatuś mówi, że: „Janek tego nie robi”, bo to Janek miał na imię ten jego brat. A on mówi: „Słuchaj, robi, podsłuchałem ich, mój brat to robi. Wróblewski dał mu wódki, dał mu tego, że on robi. Nie robi tego po trzeźwemu, robi po pijanemu”. Na drugi dzień, dwa dni to było, był jeden pan w płaszczu takim skórzanym, ale kto to był, czy to był Niemiec przebrany, czy to był jakiś, tego to ja nie powiem. Ale był właśnie ten kolega i strzelił, tak że tatuś żył jeszcze. Ta kula przeszła. Żeby był ratunek, to byliby uratowali, ale mamusia taka była po prostu... A ja byłam, tak myślałam, że polecę może, bo pięć kilometrów od mojego kuzyna był niemiecki szpital, stanął. Ale jako dzieciak się sama bałam odważyć. Mamusi nie pytałam. I tatuś prosił, jak umierał, mówi tak: „Nie ma ratunku, muszę umierać. Gienia, zawołaj dzieci”. Bo my krowy paśliśmy. Mamusia nas wszystkich zwołała i my tak stanęliśmy, i tatuś tak tego, mówi tak: „Gienia, jednemu Bogu jestem ducha winny. To ci mówię, żebyś pamiętała. A ty nie rozpaczaj, nie płacz. Pan Bóg ci pomoże sieroty dochować, wychować. Pamiętaj, żebyś się dziećmi opiekowała”. I ten mój brat najmłodszy miał pięć latek, on tatusia widział. Zawsze obiad wziął, ja zawsze podwórkę zamiatałam, stół wynosiłam i na podwórku jedliśmy obiad, to on tak: „Mamusia, dla tatusia nalej”. Miseczka zawsze stała i tak patrzy, gdzie ten tatuś, a on zawsze do nieba. I tak: „No, nie przyjdzie dzisiaj tatuś”, oczy spuszczał. Tak że musiał ten mój brat widzieć tego tatusia. I ten tatuś po prostu umarł, bo krwią zszedł. Tak że ciężkie życie było nasze. Jako dziecko musieliśmy pracować. Ja pamiętam, konia mamusia miała, to wzięła, ten koń to mamusię w górę tak podniósł i później on tak ryczy, to ja orałam ten pług, to tak jako dzieciak, za ten pług i tak mnie rzucał, ciągał. Ale później mamusia sprzedała tego konia i chodziliśmy, ja do wioski latałam, najmowałam, mnie mamusia wszędzie i siostry starszej nie posyłała, tylko wszędzie mnie. I ja chodziłam, prosiłam gospodarza, żeby przyszedł, porało, posiał, a my trzy dni odrabialiśmy za dzień orania w polu, to trzy dni odrabialiśmy. Czy przy kopaniu ziemniaków, czy przy żniwie. Tak że wychowała nas mamusia dzięki Bogu wszystkie porządnie. Do śmierci mamusia u mnie dożywała i siostra już umarła. Tylko jeszcze ja i brat żyjemy. Brat jeden 17 lat miał, umarł, mamusia bardzo rozpacziała, bo też tak nagle umarł. Później sama ciężko była i jak później wyszłam za mąż, to mamusię wzięłam do siebie i już ona u mnie nie pracowała nigdzie, tylko była w domu, i jak mówię, pieniądze oddawałam i jako gospodyni się czuła. Nie dała, bo na co ja chciałam, to mnie nie dała, bo mówi, że nie ma pieniędzy dla dzieci. A ja się starałam, tak żeby, po prostu dzieci uczyłam, nie miałam kłopotu ze swoimi synami. Wszyscy trzej są w złotej księdze zapisani. Moi synowie ze swymi dziećmi, z mymi wnuczkami wszyscy są pouczeni, wszyscy mają domy. Prawnuczki jeszcze mądrzejsze.